

Sahara, zima 2010

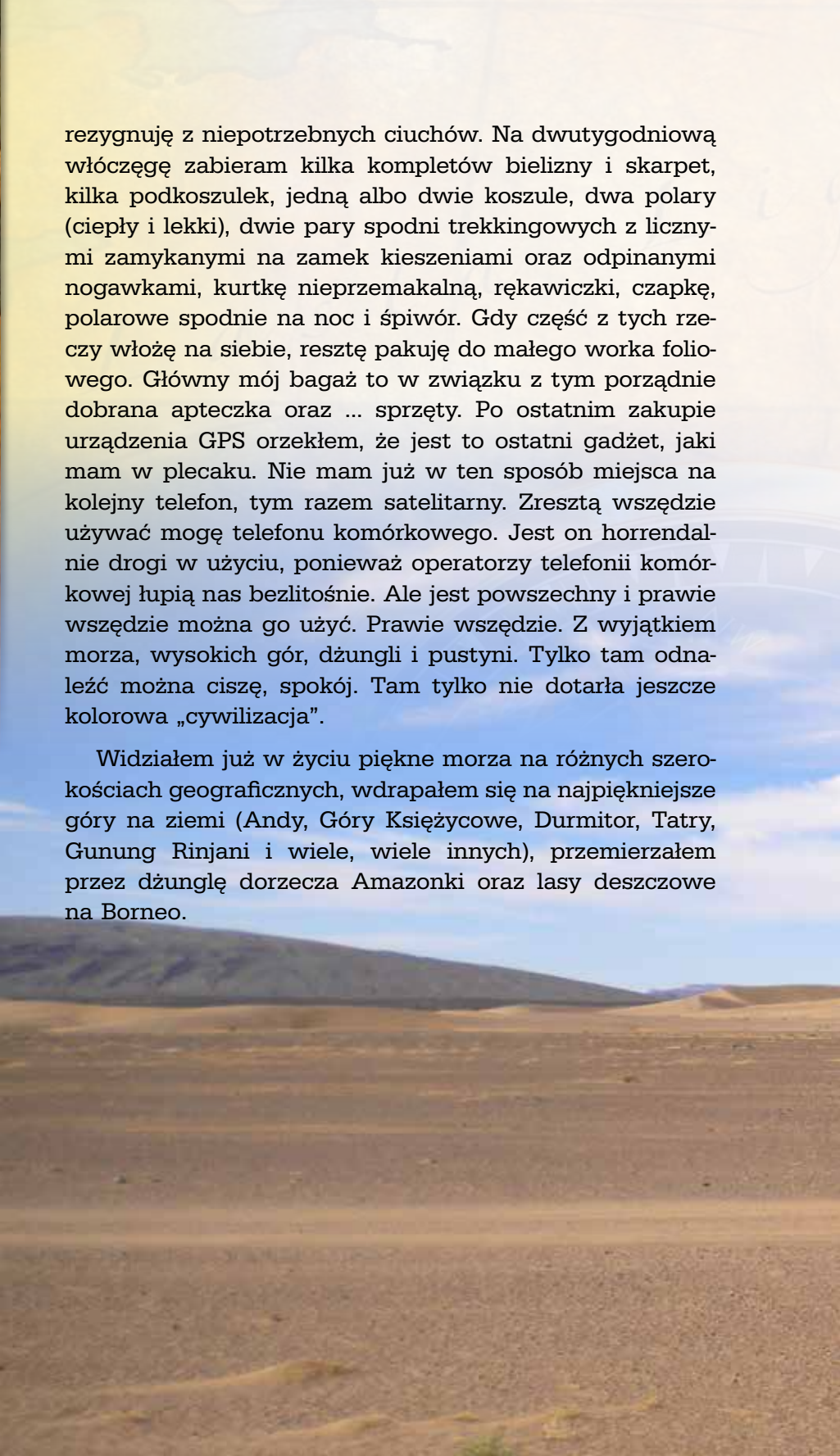
Cywilizacja dociera wszędzie. Nawet w sercu dalekiej Papui, gdzie nie ma dróg, każdy szanujący się półnagi i bosonogi młody człowiek dzierży w ręku telefon komórkowy. Namawiają mnie mało doświadczeni podróżnicy oraz nigdy i nigdzie nie podróżujący sprzedawcy w sklepach ze sprzętem wyprawowym do zakupu telefonu satelitarnego. Wydatek to rzędu kilkuset euro i minuta połączenia za około dolara. Ale po co to wszystko? Przecież wszędzie, gdzie tylko pojawi się na świecie elektryczność, na najwyższym wzniesieniu w okolicy stawiany jest obskurny maszt operatora sieci komórkowej. Jest oczywiście cała masa miejsc, w których zasięgu nie ma. Ale zawsze, raz na kilka dni dotrę do wioski, która została zniewolona przez manię sms-ów, mms-ów i nikomu niepotrzebnych różnorodnych dzwonków. Telefon satelitarny to kolejny gadżet, który trzeba taszczyć w plecaku. Już teraz różnorakie sprzęty zajmują w plecaku naprawdę dużo miejsca: GPS, komórka, dwa aparaty fotograficzne, latarka albo i dwie, lekki laptop i do tego wszystkiego jeszcze po ładowarce, dodatkowej baterii. I już jesteśmy w okolicach 5 kg. Gdy ostatnio przygotowuję się do wycieczek z plecakiem,





rezygnuję z niepotrzebnych ciuchów. Na dwutygodniową wólczęę zabieram kilka kompletów bielizny i skarpet, kilka podkoszulek, jedną albo dwie koszule, dwa polary (ciepły i lekki), dwie pary spodni trekkingowych z licznymi zamykanymi na zamek kieszeniami oraz odpinanymi nogawkami, kurtkę nieprzemakalną, rękawiczki, czapkę, polarowe spodnie na noc i śpiwór. Gdy część z tych rzeczy włożę na siebie, resztę pakuję do małego worka foliowego. Główny mój bagaż to w związku z tym porządnie dobrana apteczka oraz ... sprzęty. Po ostatnim zakupie urządzenia GPS orzekłem, że jest to ostatni gadżet, jaki mam w plecaku. Nie mam już w ten sposób miejsca na kolejny telefon, tym razem satelitarny. Zresztą wszędzie używać mogę telefonu komórkowego. Jest on horrendalnie drogi w użyciu, ponieważ operatorzy telefonii komórkowej łupią nas bezlitośnie. Ale jest powszechny i prawie wszędzie można go użyć. Prawie wszędzie. Z wyjątkiem morza, wysokich gór, dżungli i pustyni. Tylko tam odnaleźć można ciszę, spokój. Tam tylko nie dotarła jeszcze kolorowa „cywilizacja”.

Widziałem już w życiu piękne morza na różnych szerokościach geograficznych, wdrapałem się na najpiękniejsze góry na ziemi (Andy, Góry Księżycowe, Durmitor, Tatry, Gunung Rinjani i wiele, wiele innych), przemierzałem przez dżunglę dorzecza Amazonki oraz lasy deszczowe na Borneo.



Gdy w styczniu 2010 r. nastąpiła w Polsce prawdziwa zima z mrozami poniżej 20 stopni Celsjusza, a mój troglodyta pokryty był trzydziestocentymetrową skorupą lodu, postanowiłem udać się na pustynię. Samotnie. Zapragnąłem przemierzyć ją moim wehikulem.

Pustynia

Moje wyobrażenie o pustyni wyniesione ze szkoły i z hollywoodzkich filmów to niekończące się piaski, ogromne wydmy, wielbłądy, ludzie odziani w turbany.

Wszystko to prawda. Dorzucić jednak należy do tego obrazu istotną korektę: Pustynia to teren potwornie suchy, ale niekoniecznie piaszczysty. Piaski, jeżeli się pojawiają, to są rzeczywiście mordercze i niedostępne. Ale na pustyni nie brak jest kamieni, ogromnych płaskowyżów, po których przez dziesiątki kilometrów mknę bardzo szybko po drobnych kamieniach, głazach i twardej zbitej ziemi. Pustynia pełna jest skalistych monumentalnych gór. Tylko berberyjski nomad znajdzie drogę, która poprowadzi przez ogromne przełęcze.

Berber tłumaczy mi różne formy pustynne:

ERG – to wydmy. Przepastne, niedostępne otchłanie piachu. Ogromne na 300m jak Erg Chiggaga, albo ni-



Berber z Polski



*Chwila wytchnienia po wielogodzinnym
pędzeniu po piachu*



*Do Timbouctou tylko 52 ... dni ...
na wielbłądzie*

*Małe wydmy
w rzeczywistości
są ogromne*



*Na przemian
skaliste góry
i piach*



Herbata w namiocie nomadów



*Jadąc przez
pustynię co jakiś
czas można napotkać
głęboką na wiele
metrów studnię*



*Na wysokiej przełęczy równej rysom
spotkaniem berberyjski domek*



*Nie ma nie ma wody na
pustyni, a wielbłądy nie chcą
dalej iść...*



*Namiot nomadów utkany jest
z wielbłądziej wełny*



ziutkie jak Erg Lihudhi. Zmieniają one swoje kolory w zależności od pory dnia/nocy, od położenia słońca/księżyca. W południe są brązowawoszare, o poranku i wieczorem jaskrawożółte lub pomarańczowe. Są magiczne. Nie wiem dlaczego, ale pustynia przyciąga mnie, intryguje, fascynuje, kusi i namawia do grzechu niczym atrakcyjna kobieta.

REG – to płaskowyż pozbawiony kamieni. Taki jak Lac Iriki (Jezioro Iriki), albo Daya El Maider. Długość na 40 – 70 km i szerokość na jakieś 20 – 30 km. Mknę po takim płaskim terenie 80 – 100 km/h. Jest płasko i równo, taki ogromny pas startowy, po którym można skręcać do woli.

HAMADA – to płaskowyż pokryty kamieniami, zwykle czarny płaskowyż. Ogromny i bez końca. Jazda po nim jest nużąca, męcząca, ręce bolą od lawirowania między ostrymi kamieniami.

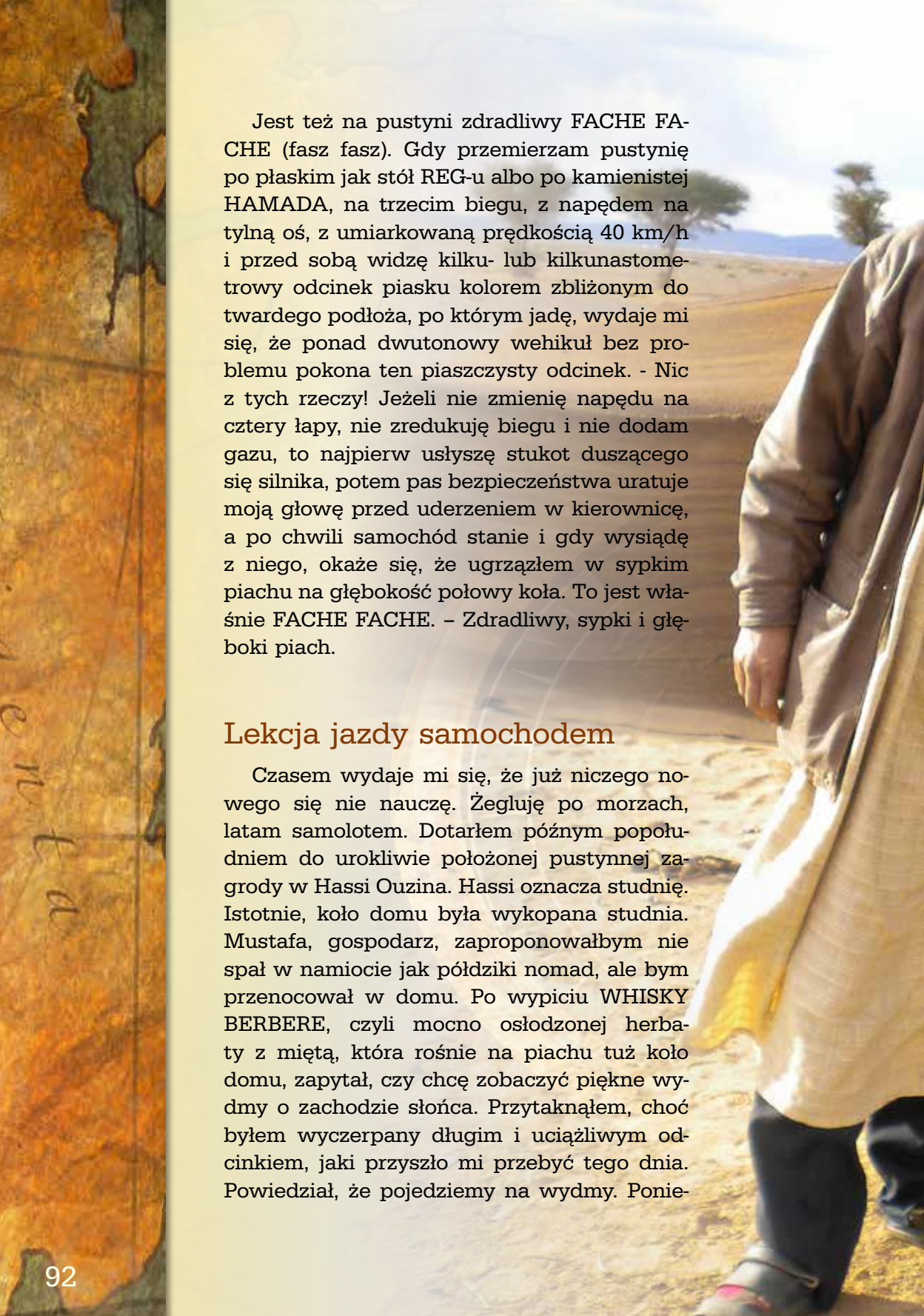
Gdy jest płaski duży teren, a słońce grzeje niechętnie, mam wrażenie, że tuż przede mną zaczyna się ogromne morze, w wodzie odbijają się dalekie góry. Jest to obraz piękny, orzeźwiający morderczą suchą okolicę. Obraz ten jest jednak tylko złudzeniem. Jest to FATA-MORGANA.

Gdy pędzę zrelaksowany po ogromnej przestrzeni, kilkadziesiąt kilometrów przede mną rysuje się masyw górski i nagle za skałą pojawia się koryto rzeki. Berberowie mówią na nie OUED (wym.: łed). Tyle, że wody tu nie ma, jest natomiast bardzo uboga roślinność. Rośnie ona na bardzo zdradliwym podłożu. Jest nim ... piach. Nomad tłumaczy mi fenomen wydm: Gdy jest płasko, wiatr niesie piach bez przeszkód. Gdy na drodze wiatru pojawi się przeszkoda taka jak drzewo lub krzak,

przeszkoda ta zatrzymuje ziarenka piasku, pozwalając wiatrowi „polecieć” dalej. Ziarnko do ziarnka aż zbierze się ... najpierw piaskowy kopczyk wokół krzaka, a następnie kopiec, wydemka i wydma, a na koniec – w dolinach rzek i w miejscach, gdzie kiedyś było jezioro, a teraz rosną drzewa i krzaki – powstanie ciąg wydym, czyli ERG. „Pustynia postępuje, rozszerza się” – mówi Berber. Jest jej coraz więcej.

Piach w korycie rzeki jest grząski. Gdy staniesz na nim, zapadasz się po kolana. Roślinki rosnące na nim dają złudzenie, że jest to podłoże twarde. Ale nic z tych rzeczy. To są najtrudniejsze miejsca dla podróżnika przemierzającego Saharę wehikułem. Trzeba je przekroczyć, by podążać dalej. Ale gdzie? Ścieżki zaznaczone na dostępnych w sprzedaży mapach są starymi szlakami karawan. Są te mapy śmiertelnymi pułapkami, ponieważ ścieżki przemierzały kiedyś przez bezpieczne miejsca na pustyni. Ale pustynia zmienia się, piaski przemieszczają się. I tam, gdzie kiedyś szły karawany, teraz nie sposób przejść, a co dopiero przejechać ważącym ponad dwie tony samochodem. Taki wehikuł zapadnie się na pół metra albo i na więcej w głęboki i sypki piach. Jest na to sposób: GPS BERBERE (berberyjski gps), czyli po prostu Berber, który zna pustynię, przemierzył ją wiele razy i wskaże ścieżkę, którą należy podążać. A ścieżek na pustyni jest wiele. Bo pustynia to nie jest miejsce wyludnione. Ludzie tu mieszkają. Zwierzęta żyją. Czasem ścieżka prowadzi do namiotu nomadów, do studni schowanej za piaszczystym pagórkiem, czasem do oazy schowanej za skałą, czasem między wydmami idzie stary trakt, który próbują przemierzyć wędrowcy tacy jak ja. Znaleźć właściwą drogę nie jest łatwo. Zabłądzić nietrudno.



A person wearing a long, light-colored robe is walking across a sandy desert landscape. The background shows a vast, open plain under a clear sky with a few distant trees. The person's legs and feet are visible at the bottom of the frame.

Jest też na pustyni zdradliwy FACHE FACHE (fasz fasz). Gdy przemierzam pustynię po płaskim jak stół REG-u albo po kamienistej HAMADA, na trzecim biegu, z napędem na tylną oś, z umiarkowaną prędkością 40 km/h i przed sobą widzę kilku- lub kilkunastometrowy odcinek piasku kolorem zbliżonym do twardego podłoża, po którym jadę, wydaje mi się, że ponad dwutonowy wehikuł bez problemu pokona ten piaszczysty odcinek. - Nic z tych rzeczy! Jeżeli nie zmienię napędu na cztery łapy, nie zredukuję biegu i nie dodam gazu, to najpierw usłyszę stukot duszącego się silnika, potem pas bezpieczeństwa uratuje moją głowę przed uderzeniem w kierownicę, a po chwili samochód stanie i gdy wysiądę z niego, okaże się, że ugrzązłem w sypkim piachu na głębokość połowy koła. To jest właśnie FACHE FACHE. – Zdradliwy, sypki i głęboki piach.

Lekcja jazdy samochodem

Czasem wydaje mi się, że już niczego nowego się nie nauczę. Żegluję po morzach, latam samolotem. Dotarłem późnym popołudniem do urokliwie położonej pustynnej zagrody w Hassi Ouzina. Hassi oznacza studnię. Istotnie, koło domu była wykopana studnia. Mustafa, gospodarz, zaproponowałbym nie spał w namiocie jak półdziki nomad, ale bym przenocował w domu. Po wypiciu WHISKY BERBERE, czyli mocno osłodzonej herbaty z miętą, która rośnie na piachu tuż koło domu, zapytał, czy chcę zobaczyć piękne wydmy o zachodzie słońca. Przytaknąłem, choć byłem wyczerpany długim i uciążliwym odinkiem, jaki przyszło mi przeżyć tego dnia. Powiedział, że pojedziemy na wydmy. Ponie-





*Piach atakuje nawet
mniejsze skaliste
wzniesienia*



*Za chwilę na Saharze skończy się
dzień i zacznie magiczna noc*



*Niski namiot nomada chroni go
przed silnym pustynnym wiatrem*



*Noc postanowiłem spędzić
w pustynnej wiosce*



*Zatrzymałem się w dużej osadzie
nieopodal palmowego gaju*



Woda!



Po drodze spotkałem nomadów koczujących na suchej przestrzeni



Pośrodku Sahary, w ogromnym korycie rzeki było zielono, znalazłem tam tęczkę z pasącymi się wielbłądami



W namiocie zastałem trójkę małych dzieciaków, ich rodzice poszli na całonocną wędrówkę do najbliższej oazy po wodę



W korycie rzeki, która płynęła tu bardzo dawno temu, spotkałem nomada - właściciela stadka wielbłądów

Ogromny ERG LIUHUDI



waż dzień wcześniej utknałem na wiele godzin w piachu, a ręce chciały mi odpaść od syzyfowego odkopywania wehikułu łopatą, z przerażeniem w oczach powiedziałem, że boję się, czy aby nie utkniemy na jednej z wydm i czy nie przyjdzie nam na koniec nocować w namiocie. „Nie bój się, nauczę Cię jazdy po wydmach. Jutro i w następny dzień podczas Twojej ryzykownej tułaczki, ta lekcja pomoże Ci bardzo” – powiedział Mustafa i zaczął gmerać przy moich oponach. Spuściliśmy powietrze o ok. 25%. Gdy zbliżyliśmy się do piaszczystego odcinka, kazał zmienić napęd na 4x4, zredukować bieg, dodać gaz do dechy, rozpędzić wehikuł i nie zwalniać. Przed górnym krańcem wydmy trzeba z wyczuciem wyhamować, tak, by się na sekundę zatrzymać i zobaczyć, czy po drugiej stronie wiatr nie uformował przepaści, w którą przeokoziolkujemy. Gdy się mamy zatrzymać i wysiąść z samochodu, należy zjechać na twardy teren, który będzie gwarancją, że pojazd po chwili nie zapadnie się na kilkadziesiąt centymetrów w piach.

Wieczorem leżałem rozdygotany ze strachu w łóżku. Gdybym dwa dni wcześniej otrzymał taką lekcję, nie przeżyłbym traumy na pustyni. Jeszcze nie wiedziałem, że bez tej lekcji przez następne dwa dni nie miałbym szans na pokonanie trudnych odcinków pustyni, w które nie zapuszcza się prawie nikt. Jestem mały na pustyni. Zawsze wydaje mi się, że zawojuję świat, wielu zaskakuję moimi pomysłami. Na pustyni jestem nikim, tracę orienta-

cję. Ogrom, otchłań przytłaczają mnie. Wieczorem Berber mówi: „jedz do syta”, „ciesz się chwilą”, „ciesz się mijającym dniem”, bo „nie wiadomo, co Cię jutro spotka”, czy zdradliwy piach nie zatrzyma Cię na noc gdzieś, gdzie nie ma wody i pożywienia. Na pustyni nic nie wiadomo.

Uspokoilo mnie wspomnienie pustynnych kolorów: soczystej czerwieni wydm o zachodzie słońca, brązowo-pomarańczowego piasku w dzień, zielonego dna jeziora, po którym mogę mknąć ciesząc się widokiem dromaderów, szmaragdu strumienia w oazie, który bije prosto z piachu oraz głębokiej czerni otchłani studni.

Leszcz na pustyni

Po kilku tysiącach kilometrów drogi z Polski wjechałem na SAHARĘ!

Miałem ze sobą przewodniki po Saharze, mapy. Ale po co taki wymiatacz jak ja ma jechać wg wskazówek. Sam wyznaczyłem sobie trasę. I na początku szło mi nawet fajnie. Nawigowanie „na czuja”, przy pomocy mapy i kompasu to jest to. Dojeżdżam do oazy, weryfikuję jej nazwę z mapą i stwierdzam, że we właściwym kierunku poprowadziłem wehikuł. Jest coraz piękniej, późny poranek, widoki zapierające dech w piersiach.





Za trzecią oazą stwierdzam, że - tak jak zawsze myślałem - jestem mistrzem świata i wyznaczam kierunek do oddalonej o ponad 50 km oazy, wyrzucam mapę w kąt i zaczynam jechać przed siebie na azymut. Jest jeszcze pięknie, pojawiają się ogromne wydmy, wielkie góry, potem bezkresny płaskowyż.

Robię piękne foty, przeżywam Saharę. Jestem szczęśliwy. I tak jadę sobie po płaskim i twardym jak stół REG-u. Z daleka widzę krótki odcinek piasku. Jestem pewien, że bez trudu go przejadę. Jadę sobie dalej nie redukując biegu, nie zmieniając napędu na cztery koła, nie dodając gazu. I nagle ... przestaje być fajnie. To, co się wydarzyło, mój półtoraroczny Skrzat określiliby znanym mu słowem „bach”. A ja dodam: „bach w piach”. Głęboko w piach. Na głębokość połowy kół. Silnik po prostu zdechł, a samochód ostro wyhamował. Zaraz przypomniałem sobie lekturę książek o podróżowaniu po pustyni i już wiedziałem, że to nic innego, tylko zdradliwy FACHE FACHE.

Słońce w zenicie. Zakładam czapkę, wychodzę z samochodu, wcześniej stwierdzając, że mam 40 litrów pitnej wody oraz ok. 20 litrów wody „technicznej”, trzy paczki kabanosów, dwie kindziuka, cztery puszki tyskiego (nie ma większej przyjemności od wypicia na pustyni złotej ambrozji z Polski), kawałek chleba i cztery pomarańcze oraz garść daktyli.

Rozglądam się wokoło: Jestem na ogromnym płaskowyzu pośrodku niewysokich, ale rozległych wydym. Wokół ani człowieka, ani roślinki, tylko ślad mojego wehikułu prowadzący z północnego-wschodu.

Zakładam rękawice robocze, rozglądam się po samochodzie. Muszę wycofać się ok. 10 metrów. To niewiele (już za godzinę przekonałem się, że niestety pomyliłem się w tej ocenie). Biorę łopatę, zaczynam kopać sypki piasek wokół jednego koła i dowiaduję się, że czeka mnie długa i syzyfowa robota. Co ukopię, to zaraz się znowu „wleje” w dołek. Po godzinie odkryłem cztery koła. Siadam w cieniu pojazdu, wypijam pół litra wody. Uspokajam rytm serca. Wszak na co dzień nie przywykłem do fizycznej pracy. Dłonie czerwone od łopaty, cały jestem spocony. Po chwili wsiadam za kierownicę, uruchamiam wehikuł, wsteczny i ... ujechałem w tył półtora metra i ugrzęzłem kilka ko-





*Na pustyni zdarza się czasem
nieoczekiwane spotkanie*



Tu trzeba wyhamować



Spotkanie na bezdrożu



*Na suchej pustyni wyrasta cza-
sem soczysta roślina, wypicie
jej soku, ugryzienie jej nęącego
listka spowoduje ślepotę i śmierć*



*Ten mały wielbłądek przyszedł
na świat dzisiaj w nocy*



*Przygoda powoduje, że jestem najszczęśliwszy na świecie,
spełniony, nic mi nie brakuje*

*Udało się dotrzeć na ogromny
ERG pełen niziutkich wydm*



*Życiodajna woda to rzadkość na
bezkresie piasków, kamieni i skał
oraz pyłu*



*Zakoczowałem w berberyjskiej
wiosce na Saharze*

lejszych centymetrów. Wyłączam silnik. Półtorej godziny naprawdę ciężkiej pracy i tylko taki kawałek!

Przypomniałem sobie, że mechanicy zamontowali na pace mojego wehikułu kewlarowe trapy. Gdy je montowali, myślałem, że nigdy nie odepnę dwóch pasów, którymi były przymocowane do pojazdu. Wyposażenie mojego wehikułu w łopatę, trapy, hi lift, kompresor i kilka innych sprzętów uważałem za fajną przygodę oderwaną od rzeczywistych potrzeb. Gdy wiosną 2009 dostałem od mechaników listę przeróbek i sprzętów, w które muszę wyposażać pojazd, większości punktów nie rozumiałem. Gdy chłopaki w Chorzowie montowali sprzęty na wehikule, bawiłem się dobrze i cieszyłem, że spotkałem fascynatów off-road-u. Lubię ludzi, którzy mają pasję. Dodają mi sił, dzięki nim świat jest barwny.

Kolejna godzina kopania, pod tylne koła podkładałam po kolejnych 30 minutach trapy. Łyk wody, wsteczny i ... do końca zostaje mi jeszcze ponad 5 metrów. Pochyliłam się pod samochód i stwierdzam, że z każdym metrem do tyłu, samochód zapada się o kolejne kilka centymetrów w głąboki i sypki piach.



W tym momencie popatrzyłem na okoliczne wydmy. Zza jednej z nich wyszło kilkoro dzieciaków. Po chwili pojawiło się stadko kóz. Pomyślałem: są ludzie i zwierzęta, nie zginę, dam radę. Za chwilę wokół samochodu jest już całkiem duża gromadka dzieciaków. Chodzą wokół, obserwują. Jeden z nich przynosi kamień. Nie wiem jak go znalazł na piachu. Inne dzieciaki przynoszą po suchym krzaku. Wsuwam to wszystko pod koła, odpalam samochód i ... przesuwam się tylko o kilkadziesiąt centymetrów stwierdzając jednocześnie, że między piachem a podwoziem została mi tylko dwucentymetrowa szpara.

Przypominam sobie wtedy, że mam jeszcze hi lift. – Wielkie i ciężkie żelastwo służące do podnoszenia pojazdu. Kolega tłumaczył mi jak używać podnośnika, ale ja wtedy traktowałem jego słowa z serdecznym przymrużeniem oka. Byłem pewien, że hi lifta nigdy nie użyję. Po kilku minutach przypomniałem sobie działanie gadżetu. Oparłem go o próg i pociągnąłem za wajchę. W tym momencie zamiast samochód podnosić się w górę, hi lift zagłębiał się w piachu! Tragedia.





Przypomniałem sobie w tym momencie, że obok szuflady wożę niewielki czerwony kawałek plastiku. Gdy go chłopaki dla mnie zamawiali, naprawdę uważałem to za zbędne gadżeciarstwo. I tego dnia miało się okazać, że podstawka jest genialna. Dzięki niej udało mi się unieść ciężki wehikuł. Dzieciaki pozносиły pełno kamieni, nasypałem je pod wszystkie koła, starannie ułożyłem trapy i ... wyjechałem.

Późnym wieczorem po kolacji w berberyjskiej wiosce leżałem w namiocie i myślałem, jakim jestem leszczem. Jak bardzo nie znam pustyni. Pomyślałem też, że dość nieodpowiedzialna była decyzja o samotnej eskapadzie na Saharę.

Największy komplement

W międzyczasie jeden z chłopaków przyprowadził swojego tatę. Ten zaprosił mnie na późny obiad do oddalonej o 8 km wioski berberyjskiej. Podczas posiłku, który składał się z oliwek, daktyli, chleba i pasty z cukinii oraz pachnących pomidorów, ojciec wielkiej rodziny zapytał, czy nie chciałbym zostać w wiosce na noc. Po posiłku zabrałem go do wehikułu i pognaliśmy na pustynię. Pokazał mi ogromny płaskowyż, na którym w pewnym momencie pojawiły się suche krzaki, a po chwili na horyzoncie ukazały się dromadery. Kawałek dalej w namiocie nomadów wypiliśmy herbatę i podzieliłem się z nimi tabletkami przeciwbólowymi. Na koniec dnia Berber zabrał mnie w kierunku okolicznych wzgórz, które okazały się przepięknymi wydmiami. Moim oczom ukazał się mistyczny obraz pustyni. Wieczorem w wiosce podarowano mi niebieską berberyjską chustę. Zostałem prawdziwym Berberem! W wiosce zostałem okrzyknięty Ali Babą.

Gdy wieczorem ściągnąłem plandekę przykrywającą pakę i pociągnąłem za drabinę, nagle na moim wehikule pojawił się ogromny namiot. Mój gospodarz wraz z są-

siadami orzekli wtedy, że jestem pustynnym nomadem. Podróżuję z miejsca na miejsce i śpię w namiocie jak nomadzi, którzy ugościli nas dziś po południu ziółkową pustynną herbatką. Nie ma dla mnie lepszego komplementu, niż stwierdzenie, że jestem leśnym ludem, nomadem, dzikusem, który nie zszedł z drzewa.

Późnym wieczorem siedziałem w ulepionej z gliny chacie. Syn mojego gospodarza przyniósł czajnik z ciepłą wodą. Najpierw polał ręce swojemu tacie i podał ręcznik. Potem ja odświeżyłem zmęczone i brudne dłonie. Drugi syn przyniósł wielki bochen chleba, który ojciec rodziny łamał i rozdawał biesiadnikom. Wszak do chaty zeszło się wielu mężczyzn: krewnych, sąsiadów. Przybył nawet mówiący bieglem francuskim jedyny chłopak, który poszedł ze wsi po nauki do odległego miasta i na ferie zimowe wrócił do rodziny. W chacie biesiadowali mężczyźni i chłopcy. Matki, kobiety i dziewczynki jadły w izbie obok.

Wieczorem z wrażenia nie mogłem zasnąć, wyszedłem przed namiot i patrzyłem w wygwieżdżone niebo. Wspominałem ogromne wydmy, namioty pustynnych pszczelarzy.



Tam gdzie jest studnia, często można napotkać zgrabny domek



*Dłgie na 60 km i szerokie
na 30 km jezioro IRIKI*



*Mędzy wydrami nomad
postawił swój namiot*



*HAMADA to wielki-
lometrowy płaskowyż
pełen kamieni, tych
małych po których
można powoli prze-
jechać i tych wielkich
głazów*



Mój wehikuł na Saharze





*Nomad przygotowuje
herbatkę z wesołych
pustynnych ziółek*



*Spotkanie dwóch dromaderów w korycie rzeki,
która płynęła tu wiele tysięcy lat temu*



Nikt tej nocy nie miał piękniejszego nieba nad sobą. Cały świat należał do mnie.

O poranku chłopiec polał mi zmarzniete ręce ciepłą wodą. Zjadłem śniadanie i pojechałem przed siebie. Wcześniej Berber powiedział mi, że planowaną przeze mnie trasą nie przejadę, ponieważ po godzinie jazdy zaczyna się szeroki i zdradliwy OUED (wyschnięte koryto rzeki). Berber pokazał przejazd inną, niezaznaczoną na mapach ścieżką. Wy tłumaczył by podążać cały czas w kierunku znajdującego się na horyzoncie ogromnego masywu górskiego. Po dwóch godzinach jazdy miał się pojawić ogromny płaskowyż, na którym droga zniknie. Mimo tego mam się kierować cały czas w kierunku wschodniego krańca najwyższego wzniesienia. Po kolejnej godzinie pędzenia po płaskowyżu zobaczę krzewy i po jeszcze jednej godzinie wielbłądy. Gdy pomknę jeszcze kilka chwil w tym samym kierunku nagle pojawi się droga, która przeprowadzi mnie przez wysoką przełęcz przecinającą ogromny skalisty masyw górski.

Włączyłem GPS, zacząłem rejestrować drogę, bym mógł w razie kłopotów wrócić i ruszyłem. Berber miał rację. Wystraszyłem się, gdy nagle znikła droga, ale ufałem staremu Berberowi. Ucieszyłem się, gdy spotkałem dro-madery na zielonej łączce, odetchnąłem z ulgą, gdy wnet niespodziewanie pojawiła się droga. Ciężko nawiguje się po pustyni. To ogromna przestrzeń. To tak, jak na morzu. Łatwo o zgubienie kierunku, o pobłądzenie.

Towarzysz na wyprawie

Zastanawiałem się, czy byłoby mi łatwiej, gdybym zabrał kogoś ze sobą na wyprawę. Na pewno nie nawiązy-wałbym tylu kontaktów z miejscową ludnością. Pędząc samemu przez pustkowia, z radością nawiązuję rozmowę z napotkanym człowiekiem.

Czy szybciej wyszedłbym z piaskowej opresji? - Szybciej nie, ponieważ łopata jest jedna, robotę trzeba spokojnie wykonać. Zakładając, że towarzysz nie jest nudziarzem, że wspiera mnie, jego obecność jest neutralna. Będąc w opresji nie potrzebuję pocieszenia. Działam. Towarzysz nie pomoże, czasem może skrócić czas wykonania poszczegól-nych zadań.





Jedyna sytuacja, kiedy towarzysz jest rzeczywiście pomocny, to nagły wypadek, nieszczęście, z którego trzeba mnie wynieść lub donieść do szpitala. Ja cały czas jednak wierzę, że wyczerpałem już dla siebie i moich bliskich oraz dla następnych kilku pokoleń limit wypadków i katastrof. Modlę się do Pana Boga, by cztery tragedie, w których uczestniczyłem w 2004 roku i z których ledwie uszedłem z życiem, nigdy się już nie powtórzyły.

To czy jest sens brać towarzysza w podróż tylko po to, by go w razie wyczerpania zapasów zjeść? Szkoda towarzysza!



Przygoda

Mój kolega i odważny podróżnik Arek Pawełek mówi, że prawdziwy mężczyzna nie ogranicza się do marzeń – on je realizuje. Piszesz Arku, że przygoda jest zachłanną kochanką, która nie znosi konkurencji, w której można się zadurzyć bez reszty.

Masz rację. Po kilku tygodniach pracy i życia w usystematyzowanym świecie, zaczyna mnie nosić. Najpierw zaczynam robić porządek na półce z mapami. Potem spoglądam na globus, pochłaniam się na całe tygodnie w lekturze raportów podróżniczych. W pewnym momencie na stole na najważniejszym miejscu na półce zaczynają się pojawiać mapy jednego tylko regionu. Wyszukiwarka internetowa węższy wokół jednego tylko punktu. Potem nerwowe łypanie okiem na kalendarz i pewnego wieczoru, po dniu pełnym pracy schodzę do piwnicy i pakuję plecak. Nazajutrz jestem wolnym człowiekiem, upajam się namiętnością, która mną owładnęła.

Ale po kilku dniach w telefonie odzywa się mój półtoraroczny Skrzat. Zabiera swojej mamie aparat i biega po pokoju wykrzykując w niego jedno z niewielu znanych mu słów: „tata”, „tata”, „tata”. I to jest przeżycie głębokie. To wzruszenie jest mocniejsze od dreszczyku emocji związanego ze zbliżającą się wyprawą.

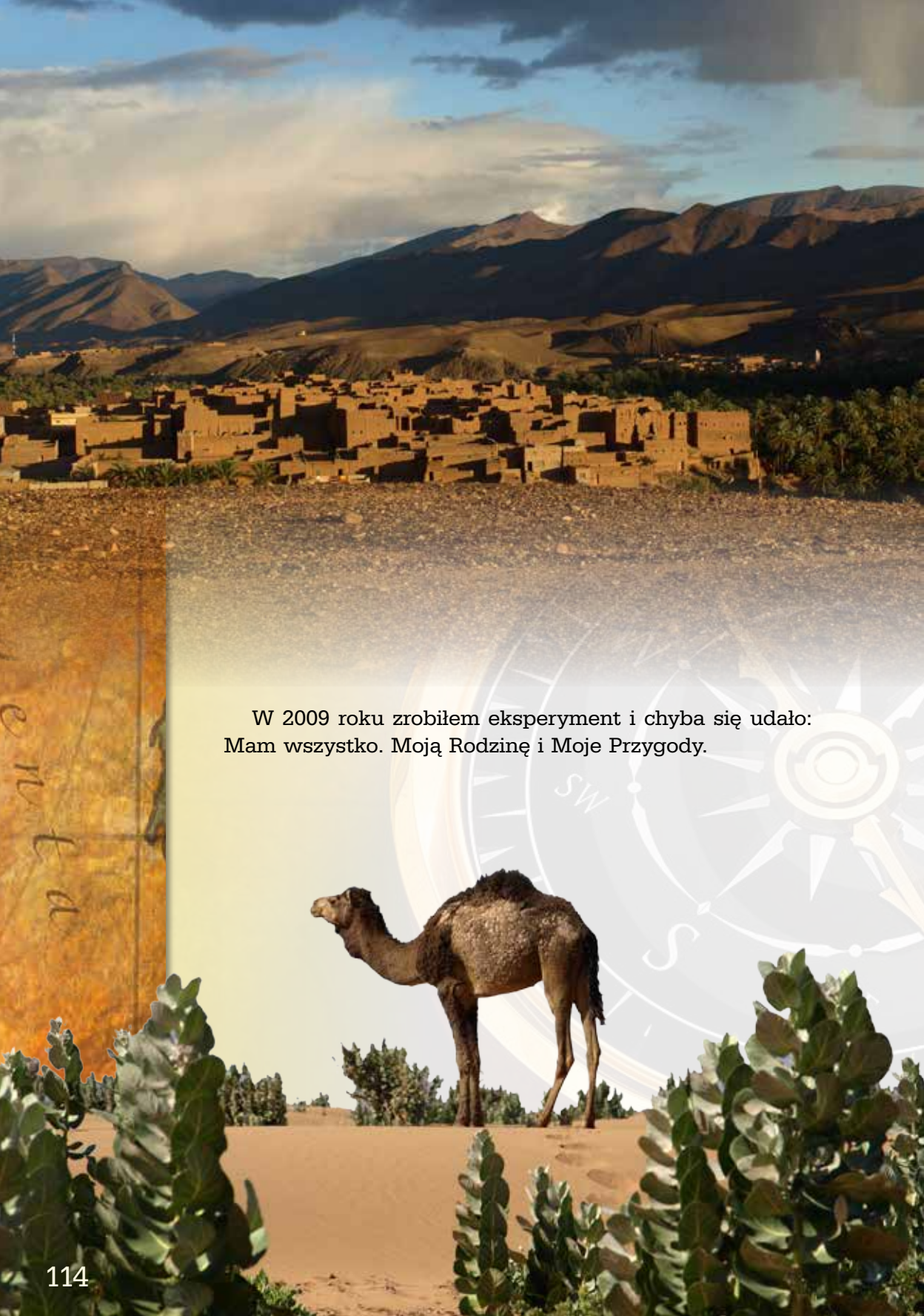
Uważam, inaczej niż mój kolega, że nie trzeba w życiu wybierać między wspaniałymi wyprawami, nieodpartą żądzą przygód z jednej strony, a codziennymi ośmioma godzinami w biurze, kuflem piwa w pubie i nudnym seksem o 22 z drugiej strony.





Ja uważam, że można mieć wszystko: wspaniałe życie zawodowe, w którym się spełniam, kochającą rodzinę, prawdziwy dom i wyczesany seks, który moja wyprawa tylko potęguje. Oczywiście, jestem uważany przez bliskich za odmienca, wielu nie znajduje ze mną wspólnego języka. Jestem czasem przeklinany, bo zamiast robiąc świąteczne zakupy myślę o tym, co będzie niezbędne w dżungli, bo zamiast kupić nudny luksusowy samochód, jeżdżę pięcioletnim gratem albo wehikułem z namiotem na dachu.

Faktycznie po powrocie z wyprawy jestem podobny do obdartego kłoszarda. Złota karta kredytowa otwiera przede mną jednak wrota do hotelu z ciepłym prysznicem i do wykwintnej restauracji, gdzie dobrze zjem po wielu dniach przymierania głodem.



W 2009 roku zrobiłem eksperyment i chyba się udało:
Mam wszystko. Moją Rodzinę i Moje Przygody.